

LEON LAFAGE.

Zakład i jego skutki.

Jak się nieraz ludziom życie dziwnie układa. Przez pewien czas są pośrodku, w ogniu wielkiego ruchu, wszyscy się nimi zajmują, mówią o nich, nagle znikają, aby już nigdy nie wypłynąć na szeroką arenę życiową.

Przez parę tygodni znajomi wspominają ich jeszcze, a potem giną w niepamięci ludzkiej. Zdarza się jednak, że po wielu latach zarządzeniem przypadku uda się jednemu z dawnych towarzyszy na ślad ich w jakimś zapadłym kącie natrafić.

Działo się ubiegłego lata, na francuskiej ziemi.

Po dwudziestu pięciu latach znalazłem przyjaciela, zaginionego towarzysza moich lat młodzieńczych!

Odbywałem właśnie pieszą wycieczkę po środkowej Francji, ażeby w kilkutygodniowej samotności najistotniejszego zażyć wypoczynku.

Pewnego dnia przewędrowawszy kilka godzin z rzędu po wielkim, żywicznej wonią przepojonym, lesie sosnowym, upadłem ze znużenia, głodu i zmęczenia.

Nie widząc żadnej gospody wokół, postanowiłem zastukać do jednego z większych dworców gospodarskich, który właśnie mijalem. Kiedy mi drzwi otworzono po poprosiłem wiejskiego chłopca, który mnie do mieszkania wpuścił, by spytał swego pana czyby nie mógł nakarmić mnie i napoić za hojnym wynagrodzeniem oczywiście. W tej chwili otworzyły się narozcież drzwi na wprost przymknięte dotychczas i wysmukły, dobrze wyglądający, szpakowaty już nieco mężczyzna bardzo starannie ubrany, z roześmianymi oczami, podszedłszy do mnie, zawołał:

— Wszystkiego dostaniesz i to po starej przyjaźni! Nie przypuszczasz chyba, że otrzyję pieniądze od ciebie?

— Bourdolle! — wykrzyknąłem, poznając mego starego przyjaciela matychmiast. Co za niespodzianka! Po dwudziestu pięciu latach....!

U boku mego Bourdolle'a stanęła tymczasem kształtna, świeżo jeszcze i zdrowo wyglądająca złotawa szatynka; witając mnie z przyjaznym uśmiechem na twarzy: madame Bourdolle we własnej osobie.

Nie mogłem przyjść narazie do siebie. Bourdolle, największy szaleńiec z całej naszej bandy ówczesnej; który znikł pewnego dnia jak kamień w wodzie i ani się więcej pokazał! Tu sądzone mi go, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, spotkać, w tym ładnym domu, którego sam wygląd zewnętrzny o zamożności i cichem, spokojnym szczęściu świadczył, u boku milej, młodo wyglądającej żony....

Spędziliśmy razem rozkoszne poobiedzie ale wieczorem dopiero, kiedy sami przy bu-

telce mocnego wina siedzieliśmy, opowie dział mi swoje dzieje:

— Czy pamiętasz? — zaczął — to lato przed dwudziestu pięciu laty, kiedyśmy w Biarritz najszaleńsze nasze figle patali? Byłeś zmuszony nieco wcześniej do Paryża wrócić. W parę dni potem mieliśmy w ślad za tobą podażyc: piękna madame Levi, bankier, jej mąż i ja; w owem aucie, które wieczorem w wigiliję wyjazdu o mały włos nie przegrałem w Casinie. Przed odjazdem założyłem się z pewnym Anglikiem o szybkość.

Nasza ówczesna jazda przyprawiłaby napewno dzisiejszego szofera o spazmy śmiechu. Na owe czasy jednak było to szaleństwem.

Anglik wyjechał o trzydzieści minut przed nami. Chodziło o przebycie stu pięćdziesięciu kilometrów. Po krótkim postoju na ósmej czy dziesiątej mili chromometr mój pokazał, że muszę już chyba przeciwnikowi memu po piętach deptać.

I rzeczywiście, ujrzałem nagle daleko przede mną tuman pyłu.

Napewno mój Anglik! Mam go już niebawem! O kilka kilometrów dalej szosa była zagrodzona i gromada krajowców, obozująca pośrodku drogi, podnosząc ręce do góry, wołała:

— Nie jedźcie dalej! Las sosnowy pali się przed wami!

Obłok dymu zatem wziąłem za tuman pyłu przed chwiłą!

— Czy nie widzieliście złotego auta, przejeżdżającego tędy? — zapytałem.

— Przedostało się jeszcze przez las prawdopodobnie — odpowiedziano mi.

— No, kiedy się Anglik przedostał, muszę się i ja przedrzeć! — pomyślałem sobie w duchu i jazda dalej!

Wtém uczulem czyją rękę na ramieniu: to Lewi błagał mnie, bym nie igrał z niebezpieczeństwem. Ale znasz mię przecież; kiedy sobie coś postanowię, za nic się nie cofnę!

— Nie dam się przecież Anglikowi pobić! — odkrzyknąłem mu przez ramię.

— Nie będziesz pobity! — jęczał Levi. To jest siła wyższa przecież!

Nie usłuchałem go jednak i zdwoiłem jeszcze szybkość.

Niebawem gorący wiatr nas owiał, zapach spalonej kory i rozgrzanej żywicy coraz silniejszy się stawał, tak, że ledwie mogłem oddychać!

Nagle, po jednym z zakrętów, ujrzelśmy płomień tuż przed sobą i nim się zorientowałem, znaleźliśmy się w samym środku ognia. Jedno mi teraz tylko pozostało — uciekać. Zgięty wół gnałem przez ogień...

Nazajutrz z rana ocknąłem się w nieznanym mi pokoju. Przy moim łóżku siedziała dziewczeczka, uśmiechając się do mnie czarnymi, błyszczącymi oczami w głoście-mi włosami obramowanej twarzyczce.

Poprosiwszy o lustro, ujrzałem się z głową całkowicie obandażowaną, niczem Marokańczyk w turbanie. Moja pielęgniarka opowiedziała mi całą historję: jak auto rozpalone jak piec piekarski, z popękanymi kołami, pełne spalonych gałęzi, nagle z sosnowego lasu wypadło w tem miejscu, gdzie okopnicy dalszemu szerzeniu się ognia opór stawili. Levisowie, którzy się plackiem w aucie położyli, dzięki czemu odnieśli powierzchowne tylko oparzelizny, mogli w dalszą drogę się puścić, podczas kiedy ja nieprzytomny pozostałem na miejscu.

Wnieśli mnie do ojca Elissanta, hodowcy owoców na wielką skalę, który tam wraz z swą jedyną córką i starą służącą mieszkał.

W miarę powrotu do zdrowia, przekonywałem się coraz głębiej o wysokiej wartości duchowej gospodarza, patrząc na jego gorliwą pracę i ludzki stosunek do swych podwładnych.

Pewnego dnia — wyobraź ty sobie! — zacząłem nad szaleństwami rozmyślać, któremi dotychczas wypełniałem dni mego życia. Porównałem gorączkową naszą egzystencję z cichem, pełnem wewnętrznego zadowolenia szczęściem tych ludzi i postanowiłem żyć jak oni, jeśli — panna Elissant nie będzie mieć nic przeciwko temu.

— Jak dobrze się żyje tutaj! — powiedziałem jej szczerze jednego z najbliższych dni. — Ale ja muszę już chyba stąd odejść?

Zarumieniła się. Wzięc ja śmielej nieco:

— Czy pani myśli, panno Irenko, że mógłbym tu zostać?

Spojrzała na mnie swymi ślicznymi, wielkimi oczami, skinąwszy główką na znak przyzwolenia i podając mi swą rączkę.

Nadszedł w tej chwili ojciec Elissant, kichając, z tabakierką w rękę.

— Daj i mnie szczyptę, kochany teściu — zawołałem wesoło — zareczyliśmy się...

I oto żyję od dwudziestu pięciu lat zdala od Paryża, zdala od ludzi, którymi się dawniej otaczałem i nie pragnąc do dawnego życia powrócić. Mam jednego syna, odbywającego właśnie teraz swoją moczną wojskowość, drugiego, przebywającego obecnie z dziadkiem swym w Algierze w celu kupna królowych pszczoł dla wzmocnienia naszych rojów. Handluję miodem i żywicą — czyżbyś może o czemś lepszym wiedział?

Unitószy mą szklanke w górę, traciłem się z nim z pewnem uczuciem zazdrości w sercu. Nie, o niczem lepszym nie wiedziałem....

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok IV.

Łódź, 23 października 1927 roku.

Nr. 43.

J. Em. Ks. Kardynał Hlond w Łodzi.



W dniu 16 października r. b. odwiedził Łódź Najwyższy Dostojnik Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej, J. Em. ks. kardynał Augustyn Hlond, Prymas Polski, którego wizyta związana była z poświęceniem kościoła św. Teresy, przy ul. Pomorskiej.

Przyjazd Najdostojniejszego Gościa wzbudził głęboki entuzjazm całej ludności katolickiej naszego miasta, która nadzwyczaj owacyjnie witała Księcia Kościoła w murach Łodzi.

Na zdjęciu widzimy J. Em. ks. kardynała Hlonda (X) w otoczeniu duchowieństwa miejscowego z J. E. ks. biskupem Tymienieckim (X X) na czele, na cmentarzu kościoła św. Teresy.

Fot. A. Meyer.

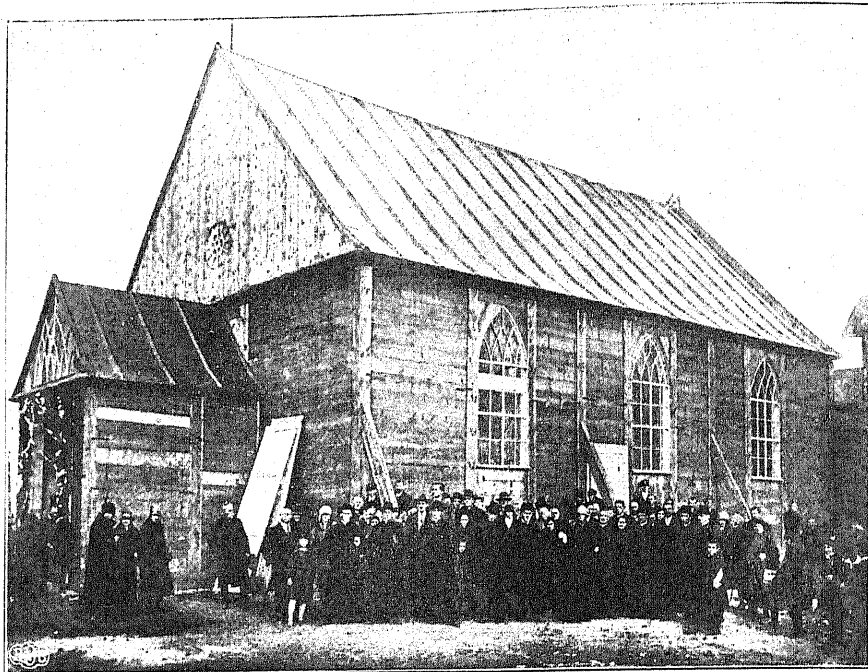
TEATRALJA.

Z teatrów warszawskich. — Nad jeziorem Garda... — Niebywałe efekty sceniczne w Bolszewij.

Ku uczczeniu 50-lecia scenicznego żywota jednej z najciekawszych komedij polskich i 100 rocznicy urodzin jej autora, Teatr Narodowy wystawił w tych dniach „Pana Damazego“, J. Blizińskiego, sprawiając wyjątkową satysfakcję miłośnikom dobrej, choć nieco przebrzmiałej, twórczości. „Pan Damazy“ wyrósł, jak wiadomo, z gruntu ziemiańskiej szlachetczyzny, tak dobrze znanej w całym swym zakresie Blizińskiemu. W sferze, którą tak żywo i dokładnie maluje, autor „Pana Damazego“ był jak u siebie w domu. To też przekrój wiejskiego obywatelstwa, oglądany przenikliwym lecz wyrozumiałym wzrokiem przez Blizińskiego i utrwalony w galerji typów jego najlepszej komedji, pozostaje zawsze żywym i wymownym dokumentem epoki po-powstaniowej, pełnym charakterystycznych rysów społecznych i obyczajowych. W parze z bystrością obserwacji i doskonałą znajomością środowiska, idzie u Blizińskiego humor zdrowy i jędrny, zaś na dnie komedjowych powikłań nietrudno odnaleźć ślad obywatelskiej troski o przyszłość warstwy ziemiańskiej, posiadającej określoną wagę w narodowym zespole oraz trafne myśli i wskazówki w najważniejszych podówczas kwestiach zagrożonego przez zaborców bytu. Na dobro Blizińskiego i to podkreślić trzeba, że potrafił wyjść z zezarowanego kola ziemiańskiej wyłączoneści, tak właściwej Fredrze. Autor „Rozbitek“ spoziera znacznie dalej, niżli sięgają wiejskie opłotki, poczyną rozumieć i uwypuklać życiową współzależność rozmaitych warstw narodu i w tem znaczeniu komedje jego posiadają niejako przelomowy charakter.

„Pana Damazego“ w Teatrze Narodowym reżyserował znakomicie Kamiński, biorąc na się po za tem rolę reagenta Bajdałskiego. A że obok Kamińskiego mistrz Frenkiel gra „Damazego“, można sobie wyobrazić ogólny ton i poziom niepowszedniego zaiste przedstawienia. Dwom największym dzisiaj artystom polskim sekundowali z powodzeniem w rolach pomniejszych p.p. Kotterowa, Gromnicka, Majdrowiczówna, T. Frenkiel. Drabik dał piękne, realistycznie pomyślane dekoracje, całość zaś reprezentacji zasługuje istotnie na miano uroczystej, świątecznej, jubileuszowej.

Wielce zasłużony na polu popularyzowania kultury scenicznego teatru dla ludu i żołnierzy p. n. „Scena Polska“ wystawił w tych dniach bardzo starannie i z ogromnym



Nowowzniesiony kościół pod wezwaniem św. Teresy, przy ul. Pomorskiej, którego poświęcenia dokonał J. Em. ks. kardynał Hlond. Fot. Aleksander Meyer.

sukcesem „Halke“ Moniuszki w warszawskim teatrze „Nowości“. Pożyteczną placówką „Sceny Polskiej“ powstała już w r. 1920 i od lat siedmiu prowadzi swą płodną działalność, organizując przedstawienia najwybitniejszych dzieł polskich w świetlicach żołnierskich, domach ludowych i robotniczych, w miasteczkach kresów wschodnich i t. d., słowem wszędzie, gdzie żywe słowo polskie pada na glebę żyzną choć nieuprawną. Dyrektorem „Sceny Polskiej“ jest p. J. Śmieżko-Błocki, kierownikiem artystycznym — p. Wł. Staszkowski. Przy kierownictwie funkcjonuje Rada Artystyczna, w której skład wchodzi literaci, muzycy i wojskowi. W najbliższej przyszłości sympatyczny zespół „Sceny Polskiej“ wyrusza na objazd kresów, gdzie urządzony będzie szereg przedstawień dla żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Powodzenia w tej obywatelsko - artystycznej pracy!

Jubileuszowe, bo 25-te z rzędu, dzieło Fr. Lehara, operetka „Paganini“, zawędrowało już do stolicy i wystawione zostało w „Nowościach“. Operetka ma muzykę dobrą i melodyjną, w pewnej mierze na oryginalnych motywach Paganiniego oparta, libretto dostatecznie rozsądne i interesujące, utrzymana jest wogóle w stylu szlachetnie wyróżniającym się z pośród dzisiejszej płaskości. Tytułową rolę śpiewa p. Mierzejewski, partnerką jego jest p. Messalówna. „Paganini“ spotkał się w Warszawie z bardzo życzliwym przyjęciem i, jak się zdaje, będzie miał długotrwałe powodzenie.

We wspomnianej posiadłości d'Annunzia

nad jeziorem Garda, zwanej Vittoriale, odbyło się w dziesiątą rocznicę zajęcia Fiume przez rycerza-poetę, uroczyste przedstawienie dramatu „Córka Jorji“, pióra gospodarza i właściciela czarownego zakątka. Przygotowania, któremi zajmował się specjalny komitet pod honorowem przewodnictwem Mussoliniego, trwały rok cały, a w charakterze wykonawców zorganizowano specjalną trupę, złożoną z najlepszych aktorów włoskich. Wyjątkowe to przedstawienie stanowiło światową sensację artystyczną, w której uczestniczyli: dwór królewski, kwiat towarzystwa włoskiego, liczni przedstawiciele literatury i sztuki oraz wielki zastęp kosmopolitycznych gości z całego świata. Realizacja „Córki Jorji“, będąca wynikiem żmudnej pracy reżyserów, aktorów, architektów i personelu technicznego, odbyła się pod gołym niebem, na dwóch — w celu uniknięcia zmiany dekoracji — ad hoc wzniesionych scenach. Ze względu na ich przeciwną pozycję, siedzenia skonstruowano w sposób „obrotowy“, to znaczy, że publiczność bez żadnego trudu znajdowała się zawsze naprzeciw sceny. Przedstawienie rozpoczęło o godzinie 4 po południu, z tem wyrachowaniem, by zachód słońca stał się efektem, wymaganym przez scenarjusz. Trzeci bowiem akt rozgrywa się o zmierzchu i z końcową sceną zapada noc. W ciemności, po zboczu górskim, stanowiącym naturalną dekorację, przeciąga procesja z płonącymi pochodniami, a ostatnie echa pochodu gina i milkną w oddali...

Karta wstępu na to jedyne w swoim ro-



P. Bronisława Olecka, primadonna w operze „Halke“ p. Dobosz w roli Jontka.

dzaju widowisko kosztowała tylko — 1000 lirów. Mimo to zabijano się wprost o bilety, nie szczędząc zabiegów i kombinacji, aby je w porę zdobyć. Bilety te bowiem nie tylko dawały prawo uczestniczenia w reprezentacji, lecz upoważniały również do wstępu i zwiedzenia posiadłości d'Annunzia, co dla licznych jego wielbicieli tudzież snobów ze wszystkich krajów obu półkul stanowiło okazję nielada. Cała ta nadgardańska uroczystość stała się jeszcze jednym reklamowym gigantofonem, otrąbiającym sławę i popularność d'Annunzia, a jak wiadomo, sława jest niezmiernie drogą sercu zdobywcy Fiume i przyjaciela Mussoliniego.

Rzadki w kronikach teatru wypadek zaszedł niedawno w sowieckim teatrze w Tulie, słynącej dotychczas głównie z wyrobów samowarów. Podczas przedstawienia „Pugaczowszczyzny“, w scenie bitwy, kilku aktorów wyjechało dla efektu na koniach. Efekt ten jednak zakończył się w sposób zgoła niespodziewany: oto tulskie rumaki, przerażone odgłosem sumy bojowych, dobywającym się z orkiestry, przeskoczyły wysoką przestrzeń, dzielącą scenę od widowni i wpadły pomiędzy krzesła i łóże, siejąc niebywałą panikę. Przedstawienie przerwano, harcujące po widowni konie uspokojono i wyprowadzono, ale kilkadziesiąt osób z pośród widzów kalectwem i potłuczeniem oplacił niefortunny pomysł tulskiego reżysera czy może antypatię koni do — sowieckiego teatru, w którym „występować“ nie pragna.

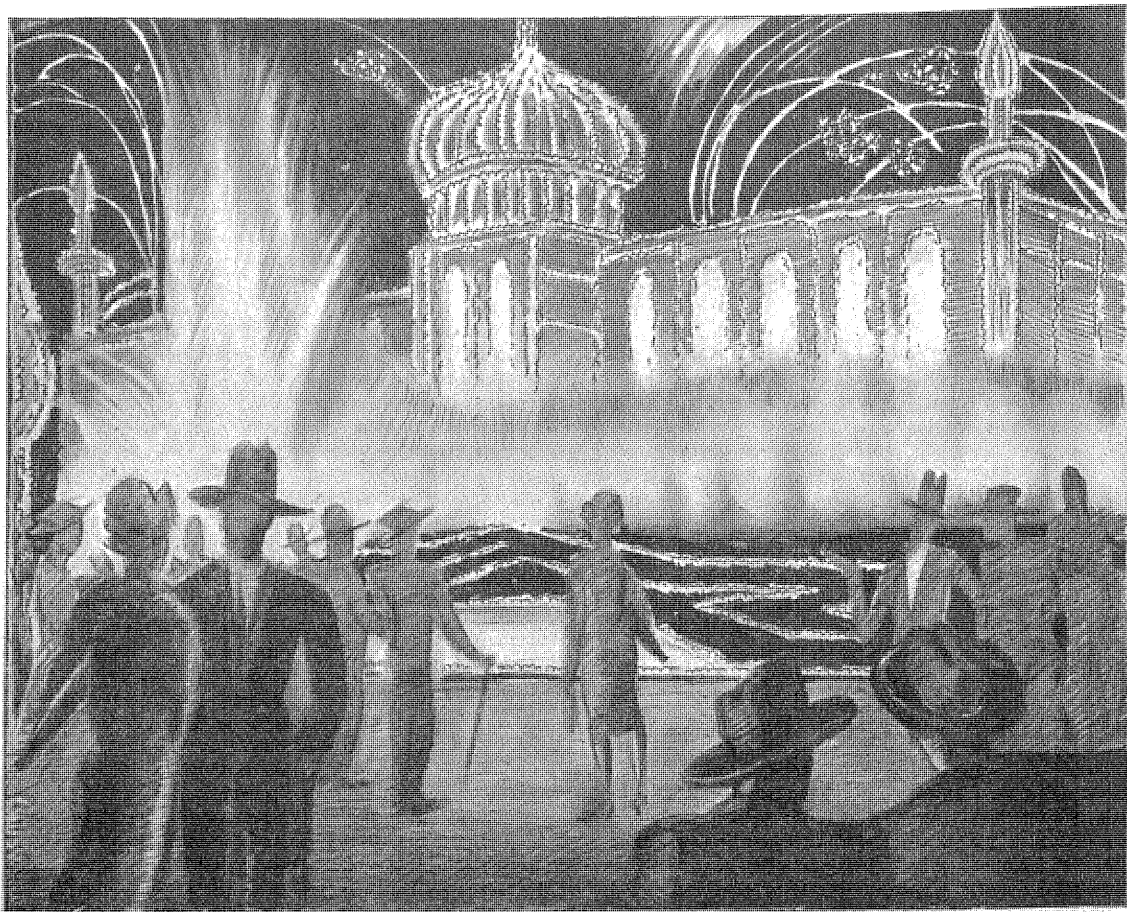
Delta.



P. Zenobia Janczewska, utalentowana kierowniczka Szkoły Plastyki i Rytmiki w Łodzi, w swym charakterystycznym tańcu.



Towarzystwo Operowe w Łodzi wznawia swą działalność, czyniąc przygotowania do sezonu zimowego. Na zdjęciu widzimy zespół chórów Towarzystwa z organizatorami na czele.



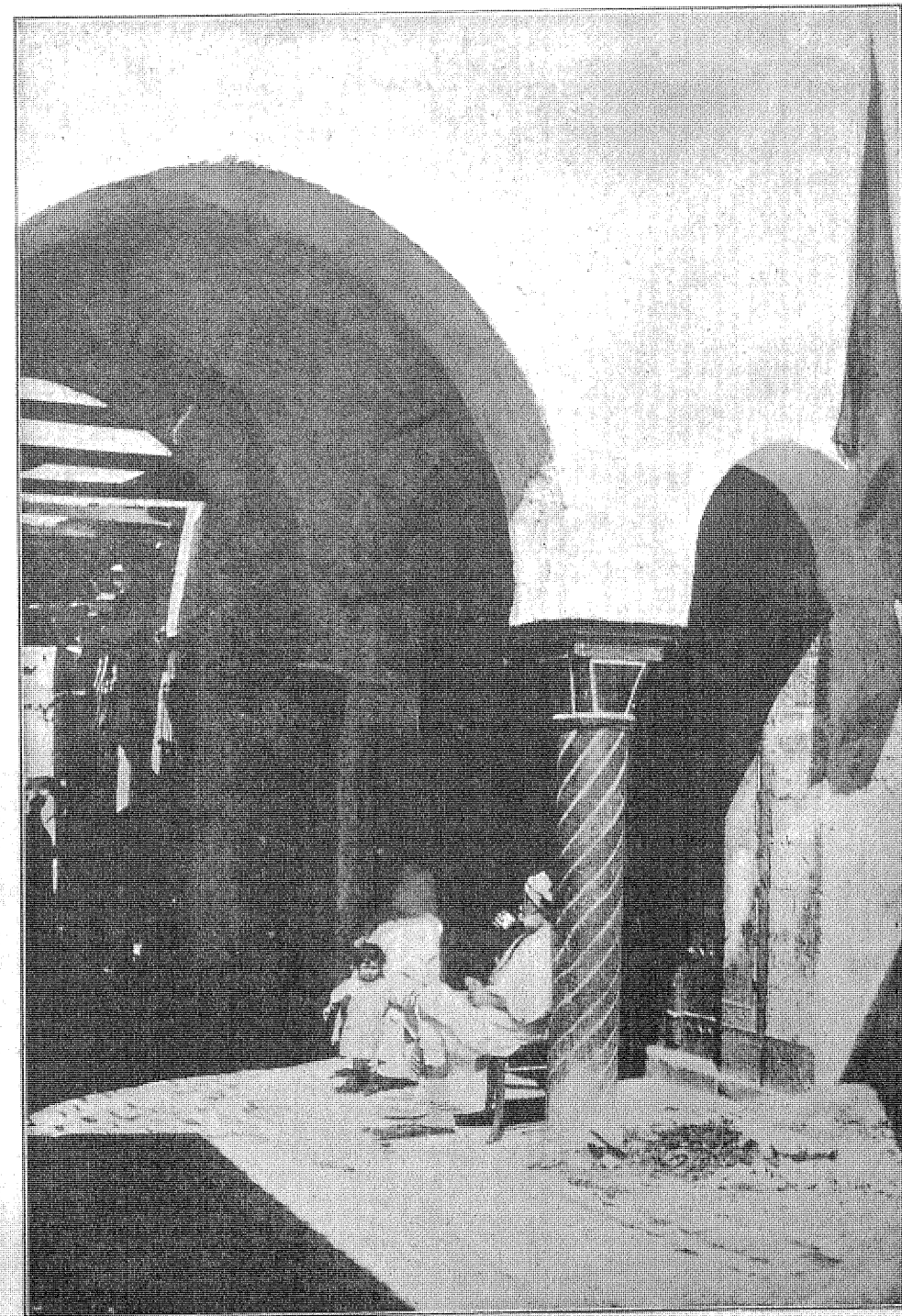
Najpiękniejszy z gmachów Nowego Jorku, całkowicie uświetniony, będący siedzibą znanego zakładu „Tivoli”.



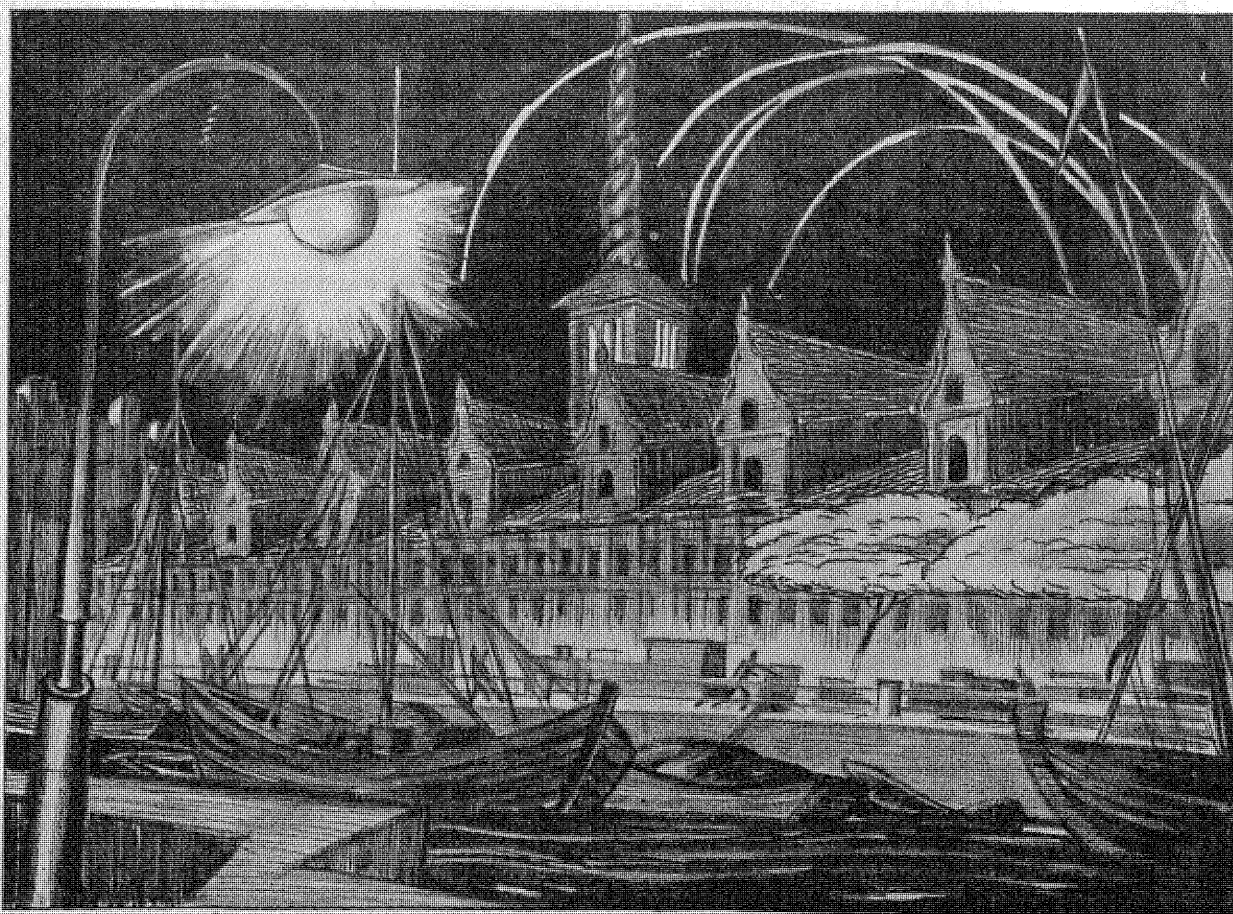
Dwulec kolejowy w Edingen.



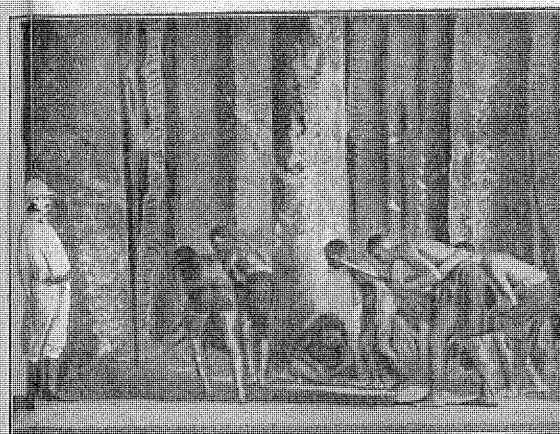
Główny państwa polskiego na maszcie okrętu „Gdańsk”.



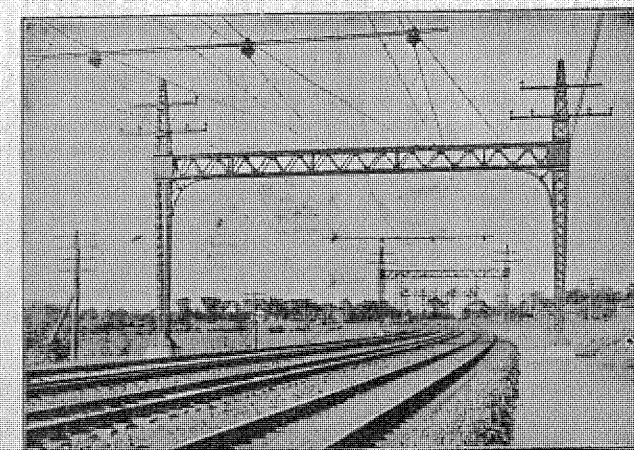
Idylla na dziedzińcu podwórzowym domu arabskiego.



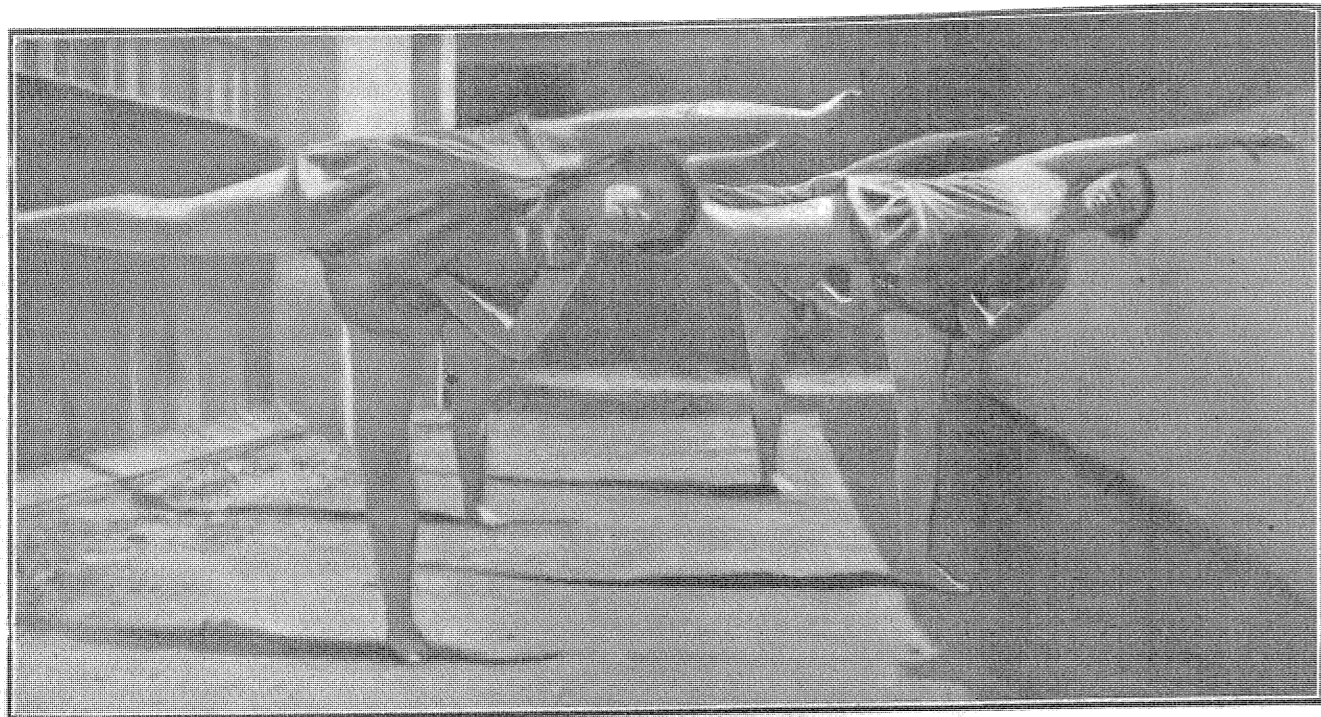
Pałac giełdy kopenhaskiej ze swą charakterystyczną wieżą.



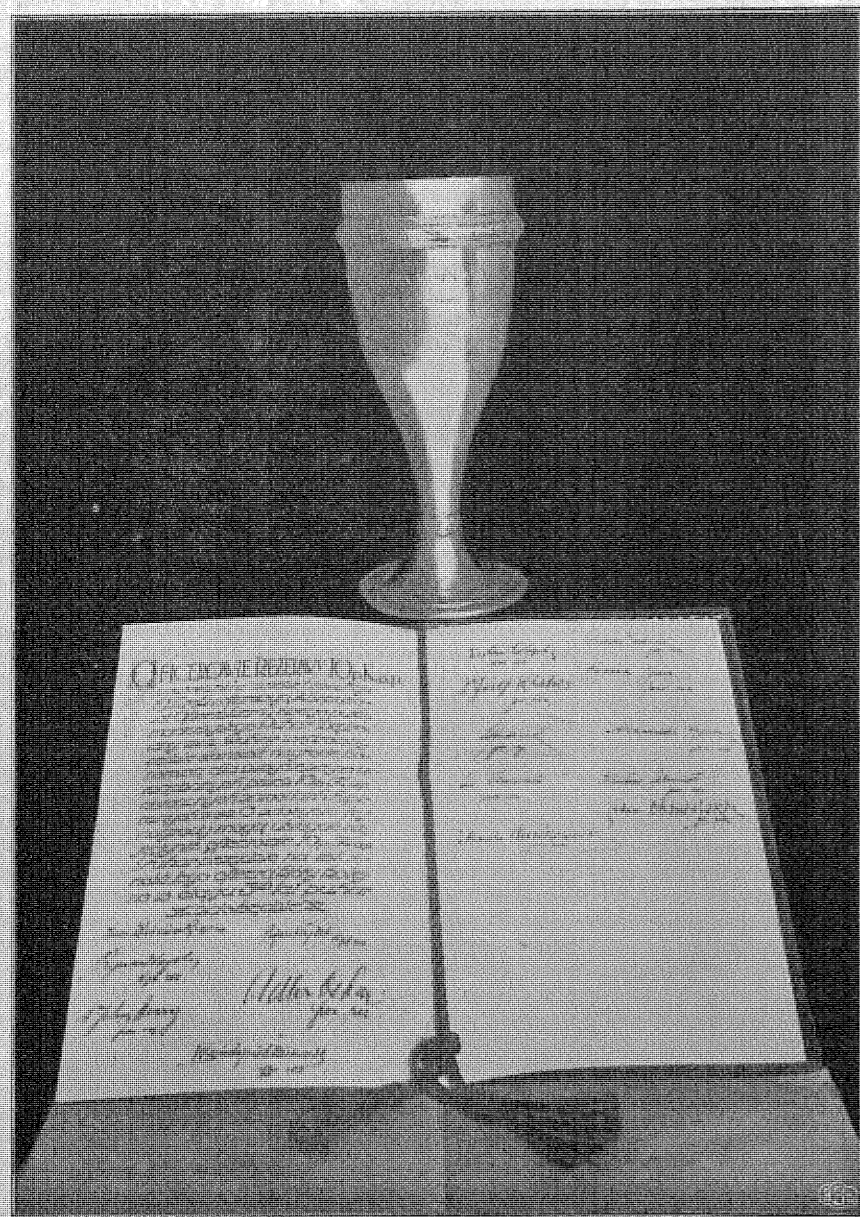
Leśna scena „Króla Jones'a”, wystawiona w Nowym Yorku przy współudziale murzynów.



Sieć oświetlenia elektrycznego na czterotorowej kolei w Nowym Yorku.



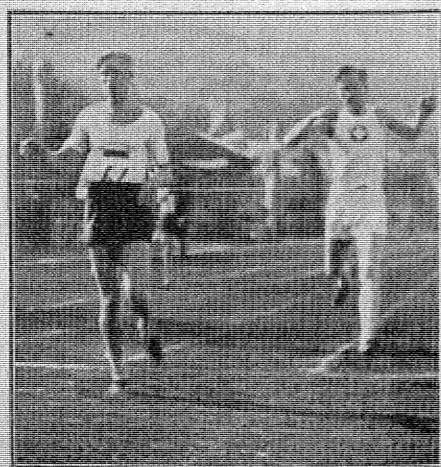
Cwiczenia gimnastyczne pań na kursach wychowania fizycznego w Warszawie.



Srebrny puchar wędrowny, ufirowany 10 p. a. p. w Łodzi przez oficerów rezerwy tego pułku.



Freyer w wieńcu laurowym. Obok prezes PZSA kpt. Misiński.



Kostrzewski na igrzyskach akademickich w Rzymie.



Z Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi.



W dniu 14 b. m. w salinach Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi odbyło się uroczyste otwarcie wystawy jubileuszowej prac artysty-malarza Włastimilla Hofimana, któremu Łódź pierwsza przed innymi miastami w Polsce oddała hołd z okazji jego 25-letniej pracy artystycznej. Na zdjęciu widzimy jedno z arcydzieł W. Hofimana, obraz p. n. „Dziewczę ze szpakami”.



Kompozytor prof. B. Wallek-Walewski, którego „Pomsta Jontkowa” stanowi dalszy ciąg opery „Halka”.



Jeden z najciekawszych filmów wyświetlany w kinoteatrach łódzkich „Luna” i „Czary”, p. t. „Napoleon w Moskwie”.

M. DEKOBRA.

Ukarany purytanin.

Harry Wett, znany w całej okolicy Pine Street, jako businessmann, jest zarówno przebiegłym, na cztery nogi kutym finansistą, jak i niewiernym mężem. Damy z Fifth Avenue, których wspomiałe mieszkania, równie jak i mieszkanie pana Wetta, okalają plantacje centralnego parku, zlekka tylko napomykają o jego wybrykach i swawolach.

— Biedna pani Wett — mówią między sobą — jakże jej niezachwiana wierność źle jest nagradzana!

Nieczuły na obmowy jednych, głuchy na naganę drugich, Harry Wett zabawia się według swego widzimisię.

Bawi się, ale ma jednak pewne skrupuły. Jest cynikiem z zewnątrz tylko, nie w głębi swej duszy. Czyżby to był objaw nieprzewidywanego atawizmu? Tajemniczy wpływ anglo-saskich przodków, którzy swego czasu szanowali przykazania starego i nowego testamentu?

Faktem niezbitym jest w każdym bądź razie, że po każdym swym grzesznym czynie, żaluje zań całym sercem i majuroczyściej sobie przysięga, nigdy więcej w ten sposób nie broić. Nigdy jednak przysięgi nie dotrzymuje. Nazajutrz niemal zdradza swą żonę jeszcze gorliwiej. Poczem znowu robi sobie samemu gorzkie wymówki, stając się błęd swój naprawić.

I tak męczy się biedaczysko, biegnąc stale od grzechu do skruchy...

Od kilku lat miał zwyczaj fundowania łóżka w szpitalu Roosevelta po każdej ze swych przygód. Liczył bowiem, że dzięki temu jego błędy będą mniej surowo sądzone oraz wydziedziczonym i ofiarom nieprzyjaznego losu na dobre wyjdą.

Mając jednak żywo w pamięci współniczkę swego grzechu, każde łóżko chrzczył mianem tej świętej, której imię nosiła chwilowa wybranka jego serca. Powstał w ten sposób w szpitalu Roosevelta cały rząd łóżek z tabliczkami w głowach, na których wryte były imiona św. Cecylii, św. Ireny, św. Julii, św. Alicji, św. Barbary itd., symbolizujące dla niego najmiłsze wspomnienia minionych słodkich chwil.

Urząd parafjalny siódmego okręgu uznawał bez ograniczeń ową manifestację chrześcijańskiej miłości bliźniego. Pastor Staut, kapelan szpitalny, nie tail swego zadowolenia — stawał nawet wiernym swej parafji pana Wetta za godny do naśladowania wzór hojności.

Pewnego dnia pan Wett wyjechał do Paryża, skąd zawiadomił żonę, że posiedzenia rady nadzorczej międzynarodowego towarzystwa trustu miedzianego, którego był przewodniczącym, zatrzymają go około dwóch tygodni w stolicy Francji.

Pani Wett, cierpliwa i oddana, jak zawsze, nie okazała ani radości, ani smutku. Piękna ta, fascynująca blondyna o wielkich marzących oczach wiedziała już, co

się święci. Podała się jednak swemu losowi z najszlachetniejszą rezygnacją.

Przybywszy do Paryża, pan Wett zapomniał na śmierć o truście — właściwej przyczynie swej podróży — i utonął w mieszkaniu pewnej pięknotki, Magdaleną zwaną.

Po powrocie do New Jorku postanowił niezwłocznie za swą lekkomyślność odpokutować. Udał się tedy natychmiast do dyrektora szpitala Roosevelta, którego nazwimy panem Topkinsem, dajmy na to, oznajmiając mu:

— Mój kochany panie Topkins, wydałem wczoraj memu bankowi rozporządzenie wypłacenia panu czeku na dziesięć tysięcy dolarów, na wstawienie jednego łóżka do sali czternastej.

— Oh!... — zawołał Topkins zachwycony.

— Spokojnie, spokojnie! — przerwał mu pan Wett, skinąwszy przyjaźnie głową. — Chciałbym tylko, aby to nowe łóżko św. Magdaleny było poświęcone.

Pan Topkins zapewniwszy uroczystie swej nieklamanej wdzięczności, dodał:

— Panie Wett, wola pańska będzie wykonana. Skoro jednak pan mię dziś wizytą swoją zaszczycił, miło mi oznajmić mu, że mam w szpitalu niespodziankę dla nie-

go... Czy mogę pana prosić o potrudzenie się pójścia ze mną w celu obejrzenia nowej naszej sali, liczba siedemnaście?

Pan Wett udał się z panem Topkinsem o kilka kroków dalej i stanął na progu nowej zupełnie sali liczącej dziewięćdziesiąt cztery tylko co wstawione łóżka...

Pan Topkins z największym szacunkiem objaśnił pana Wetta:

— Szczęśliwy jestem, panie Wett, że mogę panu pokazać salę fundacji małżonki pańskiej. Upoważniła mię do pokazania jej panu, gdy pan nowe łóżko będzie fundował. Chciała tem panu niezawodnie dowieść, że dobry przykład jest zaraźliwy i że ona nie chce we wspańlomyślności dąć się panu prześcignąć. W najdrobniejszych szczegółach poleciła mi pana fundację naśladować: niech pan spojrzy na napisy na tabliczkach w głowach łóżek; widnieją na nich wryte imiona św. Jana, św. Karola, św. Piotra, św. Franciszka, świętego...

— Ale pan Wett nie słuchał już. Odwróciwszy się, wcisnął kapelusz na głowę i skierował się ku wyjściu, mrużąc pod nosem jedyne nadające się mu w danej chwili angielskie słówko:

— Oh... Damn...! (Do diabła..!)

Tłum, Jotsaw,

—:—



Fotografia, nadesłana z Afryki do Europy drogą fali powietrznej.

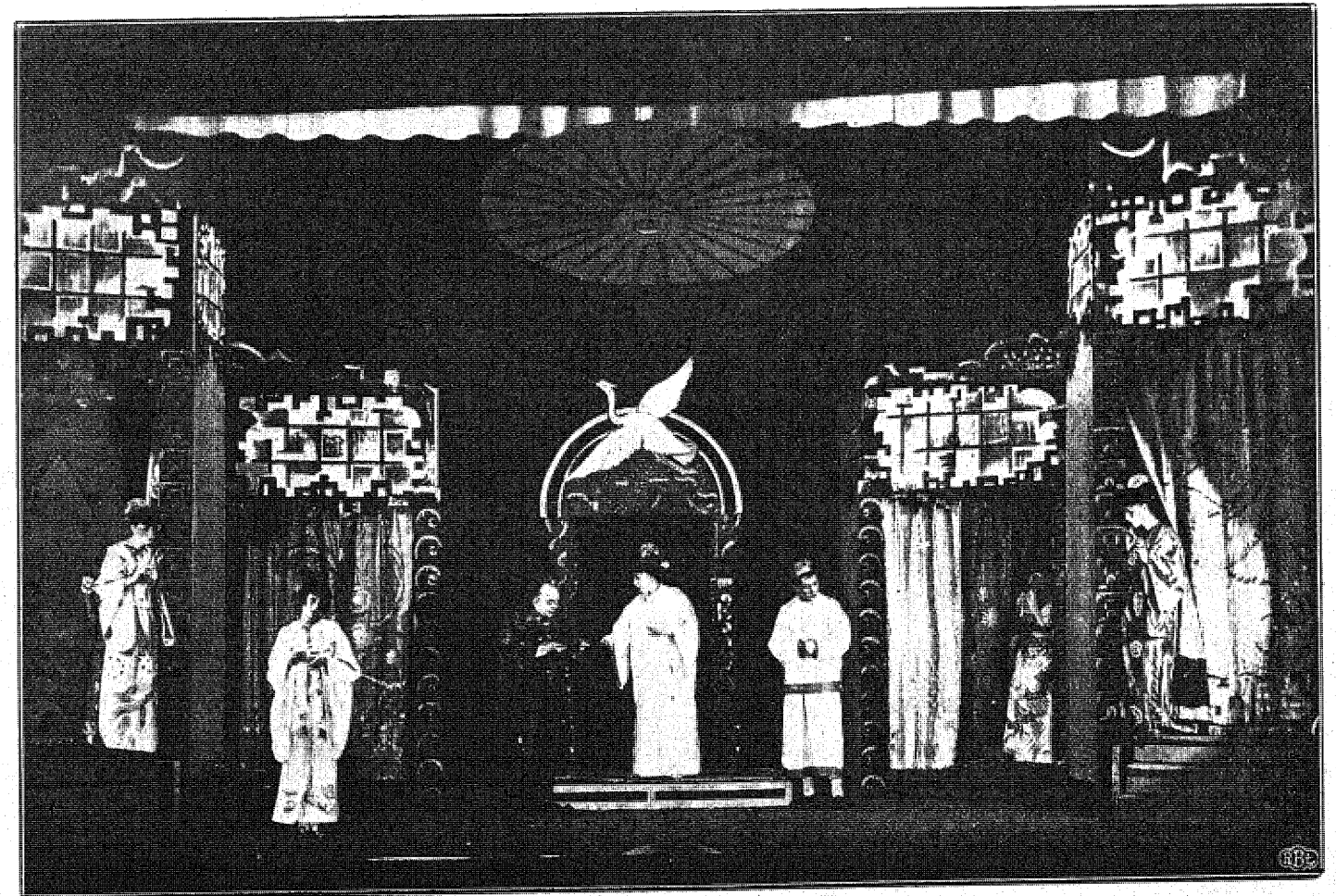


Roż IV.

Łódź, 30 października 1927 roku.

№ 44.

„Kredowe Koło” na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi.



Niebywałem powodzeniem cieszy się pełen blasku i barw kolorowy poemat dramatyczny według tragedji chińskiej p. t. „Kredowe koło“ Klabunda, wystawiany wielokrotnie na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi.

Rozwiązanie tezy filozoficznej zamyka poemat w ramy precudnej legendy — opowieści, pochodzącej z państwa niebieskiego. Na zdjęciu fragment z I-go aktu, a więc scena rozgrywająca się w herbaciarni chińskiej pod „Białym ptakiem“.

